

# Niewidzialne

*Artur Pałyga*

*Podróż do Burkina Faso. Pora deszczowa 2014*

**Kiedy się leci do Afryki, wszystko wygląda inaczej. Wszystko jest wobec Afryki, tej wyobrażonej, bo tej prawdziwej jeszcze nie znam.**

- Welcome in Paris, very romantic city! – słyszę w głośnikach samolotu, kiedy lądujemy na lotnisku de Gaulle'a. I myślę o całej świeżo przeczytanej historii Afryki francuskiej, o krwawej wojnie algierskiej, o wspieraniu i finansowaniu przez władze w Paryżu psychopatycznego dyktatora i ludożercy, Bokassy i innych bardzo romantycznych rzeczach. Kolorowe lotnisko, jak zawsze modne Francuzki, starannie zrobione na wzór modelek z paryskich żurnali. Dużo szklanych klatek dla palaczy. Na żadnym lotnisku, jak do tej pory, nie widziałem tak dużo miejsc dla palaczy, jak tu.

Owad nie widzi szyby. Szyba jest niewidzialna dla owada. Będzie próbował bez końca przejść przez szybę, bo jest dla niego niewidzialna, więc niezrozumiała. Nie powinna się zdarzyć. Owad uznaje szybę za chwilowe, niewyjaśniane zjawisko, czeka czas krótki i próbuje znów. Niewidzialne odczuwane jako chwilowe, nietrwałe, zwiewne. Trudno pomyśleć niewidzialne trwałe i mocne jak mur, którego za Chiny nie da się przejść.

Za szybą przejeżdża na wózku dziewczynka może siedmioletnia z widocznymi plamami łysiny na głowie. Resztki włosów związane w warkoczyk. Pcha ją niewiele od niej starszy chłopiec. Za szybą z ogromnego samolotu wyładowują bez końca ogromne ładunki. Ptak leci, znika w zamglonym, niskim, nieprzeniknionym okiem ludzkim, niebie. W holu Gate L46, skąd odprawiany jest lot do Ouagadougou, stoi pianino. Dwaj czarnoskórzy młodzi grają wspólnie proste europejskie etiudki, wygłupiają się.

W kolejce do samolotu zaczynam czuć kolor swojej skóry. Tutaj teraz, wśród tych ludzi zaczyna być widzialny.

W samolocie Paris-Ouagadougou – luksusy. Na każdym oparciu fotela – monitorki z wyborem filmów, gier i programów. Poduszczyk, kocyk, zasłonka na oczy i przyjemna klima.

- Czego się pan napije, monsieur?

- Szampana. – wskazuję na otwartą już butelkę.

Stewardessa jednak sięga po nową, nieotwartą. Chwileczkę się męczy, huczek, puknięcie, dymek, szklaneczka zimnego szampana. Miła ta podróż do Trzeciego Świata.

Na monitorce klasyka kina. Wybieram Chaplina. Od „Dyktatora” odrywa mnie Sahara! Symulator lotu pokazuje, że przelatujemy właśnie nad Saharą. Przez czas jakiś z dużym podekscytowaniem oglądam dziwne, nieczytelne dla mnie ślady na piasku w dole, jak pismo w nieznanym języku do odczytania przez kogoś tylko z bardzo wysoka.

Dwie i pół godziny lotu nad Saharą. Zachodzi Słońce. Niezwykłe rzeczy zaczynają się dziać z kolorami.

- To chmury? – pyta Grzegorz, bo już nic nie wiadomo na pewno.

- Chyba tak. Wyglądają, jak piasek, co nie?

Wszystko się zlewa. Wszystko staje się jednym.

Kiedy puszczałam na monitorce Michaela Jacksona, „Nobody care about us”, za oknem - nagle ciemność. Jakby wcisnęło coś wyłącznik widzialności. Turbulencje. Burza. Symulator lotu pokazuje szybko zmniejszającą się odległość od ziemi. W czerń spadamy, w czerń. Czekam, kiedy skończy się ta warstwa czarnych chmur, w którą wdepnęliśmy tak nagle i która trwa i trwa. 12, 11, 10, 9, 8, 7, 6 tysięcy metrów, a czerń trwa i trwa. Wreszcie orientuję się, że czerń już zniknie. Zapadła nagle, subsaharyjsko-tropikalna noc. Jak czarny marmur. Jakbyśmy siedzieli w metrze, a nie w samolocie. Totalna niewidzialność. Czarna Afryka. Czarna, marmurowo-hebanowa, nieskończona ściana niewidzialności. Lądowanie.

\*\*\*

Zadawałem sobie i ludziom pytanie przez cały ten pobyt, dlaczego oni tam żyją? Dlaczego nie wyjadą? Dlaczego zostają, budują domy, rodzą dzieci w miejscu, gdzie przez trzy miesiące jest tropikalnie i ulewa niszczy domy, a przez dziewięć miesięcy pustynnie i zwierzęta i ludzie padają z pragnienia. Gdzie ziemia jest ciężka do uprawy, bo wymieszana z piaskiem, a co jakiś czas nawiedzają ją kataklizmy, jak kilkuletnia susza. Przecież świat jest wielki, miejsca nie brakuje, po co się tu męczyć?

Błąd jest w tym pytaniu. Co to znaczy - wyjadą? Wyjechać można do Dżibo na targ. Wyprawić się można, bo to już wyprawa, do stolicy, do Ouagadougou, jeżeli ma się naprawdę ważne interesy i możliwość zatrzymania się gdzieś lub u kogoś w stolicy. Można ewentualnie maszerować, jak krokodyły, które, gdy zaczyna się pora sucha, wędrują gromadnie wiele kilometrów do wielkiego jeziora w Ouaga. Można, jak krokodyły, zrobić wspólny marsz na południe, przedrzeć się do Ghany lub do Wybrzeża Kości Słoniowej, gdzie podobno, tak mówią, żyje się trochę lepiej. Tylko co tam robić? Tu przynajmniej ma się ten kawałek piaszczystej ziemi. Tam nie ma się nic. Na północ nie ma po co maszerować. Tam jest Sahara i Mali, gdzie toczy się wojna. To stamtąd uciekają tu. Wzdłuż granicy z Mali, ciągną się w Burkina namioty uchodźców, dla których ta czerwono-żółta ziemia tu i ten kraj są zbawieniem. Więc nie jest tu tak źle. Jak widać, może być gorzej.

Kiedy wysiadłem z samolotu, kiedy postawiłem, jak to się mówi, stopę, na afrykańskim kontynencie, uderzyło mnie gorące powietrze. Słowo honoru, byłem przekonany, że od nagranych silników lotniczych taki podmuch. No ale to nie miało. Takie powietrze, jakby się weszło do łazienki, w której ktoś właśnie odbywał gorącą kąpiel. I ten charakterystyczny zapach, który jest tam przez cały czas. Nie mam jeszcze pomysłu, jak go opisać. On nie jest ani nieprzyjemny, ani przyjemny. Jakby coś sączyło się ze środka Ziemi. Po dziesięciu minutach poczułem, jak ubranie zaczyna lepić się do ciała. W hali odpraw wentylatory pod sufitem. Aż miło postać. A trochę stoimy, bo jest kolejka do odprawy. Ogłoszenie, że przeproszą za utrudnienia, ale wprowadzili właśnie nowy system. Trzeba przyłożyć do skanera dłoni, potem drugą, potem kciuk, potem drugi. Odpowiednio przyłożyć. W mojej kolejce nikomu się nie udaje, choć każdy próbuje po kilka razy. Za każdym razem strażnik pochyla się, wysuwa swoją dłoń z okienka i układa dłonie dłonią strażniczą. Cierpliwie, precyzyjnie, skutecznie. Ale zawsze najpierw daje szansę.

I znów czekanie. Na bagaże. Nie wychodzą wszystkie naraz, ale kap kap po kilka. Czekamy. Czekamy. Czekamy do końca. No niestety. Jeden nasz nie dotarł. Załatwianie formalności, wypisywanie druków. Zanim udaje się dopełnić wszystkich formalności, poza nami nie ma już na lotnisku żadnych pasażerów. Nie ma już też celników. Nie chciało im się czekać.

Poszli sobie. Spokojnie i bez kontroli przechodzimy więc z naszymi wielkimi torbami, uff.

Już w drodze do taksówki jedna z toreb wyslizguje mi się i przez chwilę tracę kontrolę nad całością. Momentalnie podbiega dwóch facetów, którzy biorą wszystkie bagaże i szybciotko przenoszą je do taksówki. Wpychają je do niej. Lidia daje jednemu monetę. Walą w szyby. Krzyczą coś, pokazują monety.

- Nie wiem, ile im dałam. Może za mało?

Taksówkarz uspokaja, że to nie jest obowiązkowe. Odgania ich. Dopóki mogą, intensywnie zgłaszają pretensje i nie wiemy, o co.

Sprawa wyjaśniła się dopiero nazajutrz, kiedy spotkaliśmy jednego z nich. Okazało się, że monetę dostał tylko jeden, a drugi nie. A pomagali obaj. Ten, który dostał, nie miał zamiaru się dzielić z kolegą, tylko wspierał go w pretensjach, że też powinien dostać. Potem już zawsze staraliśmy się tego przestrzegać. Żeby dawać wszystkim, a nie jednemu.

Taksówka grzechocze, chrzęści i szeleści.

- Nie jest źle. Zatrzymuje się na czerwonych światłach - mówi Lidia. - I w całkiem niezłym stanie technicznym, jak na Afrykę.

Jest ciemno. Pomimo miejskich świateł, ruchu samochodowego, światełek ze straganów i sklepików, jest ciemno. Półmrok. Zatrzymujemy się przed hotelem Delwende przy ulicy Patricka Lumumby. Upewniam się, czy to jest centrum stolicy. Tak, to jest centrum.

Delwende to tytuł bodajże jedyne go znanego w świecie filmu burkińskiego. Film opowiada o losie kobiet uznanych za -pożeraczki dusz-, inaczej mówiąc, za czarownice, które komuś zaszkodziły, i które z tego powodu zostają wygnane ze społeczności, co często jest równoznaczne z wyrokiem śmierci.

Delwende w języku moore oznacza -w rękach boga-, -u boga-. Słowo -wende- oznacza -bóg-.

Myślę sobie, że w naszej części świata nawet najbardziej religijne, żarliwe, manifestacyjnie pobożne organizacje nie nazwałyby hotelu "U Boga".

Pytanie, o jakiego boga chodzi? Kogo lub co mieli na myśli ci, którzy tak nazwali ten hotel.

W korytarzu hotelu Delwende wita nas znaczek - chatka czarownika, a w niej twarz diabełka.

- To nie diabełek, tylko maska. Fetysz - tłumaczy Lidia.

Znaczek jest symbolem używanym przez burkińskie Ministerstwo Turystyki. Fetysze, czary, czarownicy, maski to popularne rzeczy w Burkina Faso, a Pobe Mengao, do którego jedziemy, jest jednym z głównych ośrodków tradycyjnych religii w tej części Afryki.

Prosimy o pokój z klimatyzacją. Długo ją uruchamiają i w trakcie wydobywają się z niej kłęby gryzącego kurzu, które wsączają się nam do oczu i gardeł. Musimy wyjść w parne powietrze, na wspólny dla wszystkich pokój balkon. Klimatyzacja przez całą noc wydaje odgłos taki, jakby ktoś w pokoju nieustannie odpalał motocykl. Od połowy nocy zaczyna

grzać zamiast chłodzić.

Ale, co docenię ogromnie dopiero później, w pokoju jest bieżąca woda w kranie. Jest prysznic. Uff, jaka ulga, taki prysznic. Jest na korytarzu, dość odrapana i estetycznie może taka sobie, ale technicznie bez zarzutu, normalna, europejska toaleta. I jeszcze nie wiem, że to luksus. Na razie stoję na balkonie, spryskany środkami na komary, patrzę w to pogrążone w półmroku centrum, niska zabudowa, brak chodnika, jakieś rupiecie, ktoś śpi na ulicy, przykryty kartonem.

W Ouagadougou mieszka około dwóch milionów ludzi, którzy przywędrowali tu z całego kraju, licząc na lepsze życie, choć nie sądzę, żeby ich ktoś tutaj dokładnie policzył. Są gdzieś tam, w tym półmroku. Śpią lub leżą w dusznej, parnej nocy, w przepojonych ludzkim potem pomieszczeniach lub na ulicy, na poboczu. Czekaają na wschód słońca.

\*\*\*

Intensywne, gęste, wyraźne, fabularne sny będą mi towarzyszyły codziennie, przez cały pobyt w Burkina. Jakby było się bliżej tutaj źródła snów. Jakby pulsowały gdzieś w tym zapachu ze środka Ziemi.

Wrywam się ze snu i patrzę na zegarek. 7.23. Jest lekko. Jestem lekki jak ślimak. Klimatyzacja pół nocy pompowała do pokoju gorące powietrze. Prysznic, prysznic! Woda! Jeden tylko kurek, tak samo jak w kranie. Rano woda jest chłodniejsza, w trakcie dnia coraz bardziej się nagrzewa.

Klimatyzacja wydaje głośny, głęboki, pulsujący dźwięk. Bez przerwy. Trochę uczucie, jak w dyskotecie techno. Na balkonie pijemy zamówioną w recepcji zimną colę. Nie ma dużego wyboru. Coca Cola ma tu niemalże monopol. Wszędzie potem, gdzie sprzedawano zimne napoje, były to wyłącznie produkty Coca Coli albo oprócz tego 2-3 wyroby lokalne. Na ulicy ruch. Ludzie na rowerach, motorach, w zdecydowanej mniejszości - w samochodach. Kobiety jeżdżą na motorach z dziećmi na plecach. Ruch, ruch, ruch, ruch. Rusza się nawet chodzący na czworaka kaleka. Powoli, jak wielki pająk, posuwa się brzegiem ulicy między zaparkowanymi motorami, rowerami i samochodami. Idzie w stronę banku. I my tam idziemy!

- Dajcie im parlament, zostawcie sobie banki! - przypomina mi się hasło, które popularne było wśród białych w Afryce w latach sześćdziesiątych XX wieku, kiedy kolejne afrykańskie kraje ogłaszały niepodległość.

W banku siedzą dwaj żołnierze, jeden z karabinem maszynowym. Pusta hala wyłożona kafelkami, jak łazienka turecka. W okienkach nikogo nie ma. W końcu w jednym pojawia się kobieta, ale informuje, że nas nie obsłuży, ponieważ obecnie trwa kontrola. Trzeba poczekać 10-20 minut. Czekamy godzinę. W międzyczasie zbiera się tłumek ludzi, w większości faceci, niektórzy w białych szatach.

Wydaje mi się, że w sumie spędziliśmy w tym banku ze cztery godziny. W Polsce nie da się wymienić pieniędzy na burkińskie. Wymieniamy euro. Większą ilość, bo w tym na projekt dla kobiet z Pobe Mengao. Waluta nazywa się frank zachodnioafrykański, wspólny dla kilku krajów, obowiązuje od lat 40. XX wieku. Mówi się na to - cefa - od skrótu CFA, po polsku było AKF, czyli afrykańska kolonia francuska.

Ouagadougou, czy też po Wagadougou lub Wagadugu, bo wszystkie te zapisy są w użyciu, nazywane pieszczotliwie Łaga, jest afrykańską metropolią zamieszkaną przez co najmniej dwa miliony ludzi. Więcej niż Warszawa czy Wiedeń. Więcej niż Bruksela i Amsterdam razem wzięte. Z grubsza tyle co Paryż. Inaczej niż w stolicach europejskich, liczba ludzi w Łaga bardzo szybko rośnie.

Zastanawiając się nad zasadniczą różnicą między filozofią miasta tu i tam, doszedłem do wniosku, że chodzi o relację między ruchomym i nieruchomym.

Dla nas miasto jest przede wszystkim czymś stabilnym, stałym. Zajmuje bardzo konkretne miejsce w przestrzeni, ma określone granice. Jest pełne budowli, skwerów i placów, które SA, stoją, tworzą stabilną, trwałą przestrzeń miasta. W tej stabilności, w tej konstrukcji, w tych budowlach istnieją ludzie wpasowujący się w tę przestrzeń.

W Łaga jest odwrotnie. Najpierw są ludzie. Pomiedzy nimi, wśród nich wytyczone są ulice, rzucone są budynki i garść placów. W związku z tym nic tu nie sprawia wrażenia stabilności, czy trwałej konstrukcji. Ma się wrażenie, że gdyby te budynki i place jutro zmieniły swoje miejsce i kształt, nie zmieniłoby to charakteru miasta. Że gdyby miasto przemieściło się, bo ludzie przeszliby kawałek dalej, to też nic szczególnego by się nie stało. Domy i place musiałyby się dostosować.

Mrowie ludzi, a każdy próbuje coś sprzedać.

I między nimi idziemy my, troje białych. Czuję, jak skóra moja świeci. Jak alarmowa żarówka w ciemności, kiedy dwóch nastolatków na nasz widok rzuca słowo: - Czekolada!

- Tak tu nazywają białych - mówi Lidia. - Czekolada.

Więc inaczej nas widzą niż my siebie pośród nich.

To trudne doświadczenie. Trudne doświadczenie - stać się zwierzyną łowną. Idzie się przez centrum dwumilionowego miasta i nie widzi się ani jednego białego poza naszą trójką. I jest się przez wszystkich dokoła widzianym, obserwowanym. Większość kulturalnie zachowuje spokój, niektórzy uśmiechają się życzliwie, niektórzy machają. Ale dla wszystkich łowców, a takich w żadnej stolicy nie brakuje, jesteśmy jak na widelcu. Jesteśmy zwierzyną. Obfitujemy w mięso, czyli w pieniądze, jakie na pewno, wiadomo, to się zawsze sprawdza, posiada każdy biały.

- My friend! My friend! - słyszymy. Pokazują jakieś przedmioty, z pewnością atrakcyjne i ze specjalną ceną dla turystów. Chyba najdziwniejszą rzeczą, jaką chciano nam sprzedać na ulicy, były duże szczotki do froterowania podłogi. Jesteśmy jak brzęczące w ich wyobraźni, pękate worki z pieniędzmi, które trzeba tylko delikatnie przechylić w swoją stronę, żeby sobie coś uszczknąć. Co pewien czas ktoś przyłącza się do nas, ścisła dłoń, wypytuje, zaprzyjaźnia się, próbuje wy badać, czego chcemy, czego tu szukamy.

- Może kobietę? Piękną afrykańską kobietę? Chcesz? - zachęca na koniec jeden z przygodnych towarzyszy spaceru przez centrum Łaga.

Nie ma rzeczy, której nie mógłbyś sobie zażyczyć. Od butów przez szczotki po kobiety. Jestem pewien, że gdybyśmy okazali zainteresowanie bronią maszynową bądź adopcją dzieci, każdy z tych przygodnych towarzyszy z miejsca zaangażowałby się w doprowadzenie transakcji do końca. Kwestia ceny.

Usilnie staram się przestać być zwierzyną. Znaleźć ludzkie porozumienie. Zmienić relację.

I tu następuje obława pod pocztą.

Przyszliliśmy na pocztę wysłać kartki do Polski.

Większość białych (nielicznych, bo jak dotąd nie spotkaliśmy żadnego) najwidoczniej wcześniej czy później trafia na pocztę. Myśliwi o tym wiedzą.

Rozdzielają nas. Każdego z nas w mgnieniu oka dopadają grupy myśliwych, którzy, nie wiem, może czatują tu od rana. Na początek każdy chce nam sprzedać komplet kartek pocztowych. Otaczają mnie kręgiem. Dyskutują, przekonują, pokazują, wkładają do ręki. Nie są agresywni. Nie ma w tym cienia agresji. Trudno nawet powiedzieć, że są nachalni. Po prostu wykonują swoją pracę, jak mogą najlepiej. Są życzliwi, serdeczni, uśmiechają się. Śmieję się, ale czuję, że mięknię. Zresztą potrzebuję kartek. Targowanie się. Pamiętam, że mam się targować, że to uświęcony zwyczaj, że suma, którą podaje sprzedający jest znacznie zawyżona, bo do ostrych negocjacji.

Nie umiem jeszcze tego. Nie rozumiem się jeszcze ni w ząb na afrykańskim targowaniu się, które jest szalone. Pojmę to z grubsza dopiero przedostatniego dnia wyprawy. Na razie jestem zwykłym żółtodziobem, kompletnym laikiem, i oni to czują od razu, wiedzą od razu. Targuję się rozsądnie, po europejsku. Jak człowiek chce za 10 własnoręcznie robionych pocztówek i 10 kopert piętnaście tysięcy cefa (czyli około 90 złotych), to jestem bardzo zadowolony, kiedy udaje mi się stargować aż o jedną trzecią i wziąć 10 pocztówek i 5 kopert za dziesięć tysięcy cefa. Rozstajemy się serdecznie, ściskając sobie dłonie, obaj zadowoleni.

Tymczasem afrykańskie targowanie się polega na tym, że jak ktoś ci rzuca cenę 15 tysięcy, to ty mówisz tysiąc, i być może spotkacie się pośrodku. A są i tacy gracze, którzy za tę samą rzecz zażądają 30 tysięcy, mając nadzieję, że wyjdiesz od tysiąca, spotkacie się pośrodku i będzie miał 15 tys., co jest rewelacyjną ceną za 10 pocztówek. Teoretycznie to wydaje się proste, mówisz tysiąc i ani franka więcej, a na koniec dorzucasz drugi, on się godzi i jest git. W praktyce jednak, w starciu z mistrzami sprzedaży ulicznej z Łaga, uwierzyć nie jest łatwo. Mnie przynajmniej nie było.

Owszem, bardzo byłem z siebie zadowolony, kiedy po kupieniu pocztówek, obścapił mnie artyści z obrazami, i kiedy kupiłem obrazek, który miał cenę 35 tysięcy cefa, za jedyne 5 tysięcy. Tyle że ja w ogóle nie chciałem kupować żadnego obrazka!

Kiedy po pocztówkach i obrazkach przyszła kolej na zabawki dla dziecka wykonane z puszek po napojach i na ludowe instrumenty muzyczne, stwierdziłem, że muszę to jakoś przerwać, bo za chwilę zostanę bez pieniędzy. Widziałem Lidę i Grzegorza otoczonych grupkami sprzedawców, ostro negocjujących, oglądających masę wkładanych im w ręce rzeczy. Musiałem sobie radzić sam. Przejął inicjatywę!

- O! O! - pokazałem na ścianę poczty, wykrzykując i gestykułując raptownie.

Wszyscy moi odwrócili się i spojrzeli na ścianę. Duża jaszczurka wbiegająca pionowo po murze, zatrzymała się i też spojrzała na nas. To na nią pokazywałem. Zaśmiali się.

- Pombaka.

- Pombaka?

- Pombaka.

- To w języku moore?

- Tak.

- Mówicie w moore?

- Wszyscy w Łaga mówią w moore.

- Jesteście z plemienia Mossi?

- Nie każdy, kto mówi w moore jest Mossi.

- Ja jestem Dogonem. Jestem z Mali. Jestem uchodźcą - pochwalił się chłopiec, który chciał mi sprzedać strunowy instrument ludowy.

- Ja jestem Mossi - powiedział sympatyczny sprzedawca zabawek z puszek. - Ale wszyscy w Łaga mówią w moore, bo najłatwiej się porozumieć, bo wszyscy w nim mówią.

- A ja jestem z Polski. Mam na imię Artur.

- Charles.

- Alex.

- Neda - mówię, pokazując na siebie. - Osoba.

- Mówisz w moore? - dziwi się.

- Znam parę słów. To zawsze dobrze działa, jak się zna parę słów - śmiejemy się. - Nie jestem zwierzyną łowną - mówię. - Jestem neda.

Śmiech. Uściski dłoni.

- Umiesz na tym grać, Alex? - pokazałem na instrument, który chciał mi opchnąć.

- Pewnie! - oburzył się.

- To pokaż.

Zaczął grać. Zaczął świetnie grać. Charles akompaniował mu na puszce i śpiewał. Grali reagge.

Porozmawialiśmy o Bobie Marleyu. Odłożyli rzeczy, które chcieli mi sprzedać i zaczęli grać. Świetnie grać.

- Powinniście grać razem.

- Gramy razem. Dzisiaj mamy próbę wieczorem. Przyjdź!

- Przyjdę. Mam nadzieję, że przyjdę. Bardzo chętnie przyjdę.

Charles, ten od zabawek z puszek, mówi, że jest artystą. Na dowód pokazał mi dowód. W dowodzie ma wpisane - artysta plastik. Skończył studia artystyczne i zarabia na życie, robiąc takie pierdołki z puszek - mówi. - Poza tym gra reage, maluje obrazy i przymiera głodem. Dzisiaj nic jeszcze nie jadł. Oni tu wszyscy artyści przed tą pocztą. Po szkołach, po studiach. Robią pocztówki, rzeźbią, malują obrazy, robią instrumenty oraz pierdołki z puszek dla turystów. Miejsce przed pocztą to miejsce artystów. Robią też poważniejsze rzeczy artystyczne, jeśli ktoś sobie zażyczy. Stale odwiedzał ich tu Lucjan z Polski, z muzeum afrykańskiego w Żorach, który zbierał eksponaty do muzeum.

Lidka i Grzegorz po zakupieniu różnych rzeczy przedarli się pod pocztę. Jeszcze w środku pomocny kolega pokazuje nam, gdzie, co i jak, po czym chce nam sprzedać koraliki.

Artyści odprowadzają nas do ogródka restauracyjnego. To jeden z najlepszych lokali w Łaga. Jest południe, skwar, patelnia. Aż wszystko, zdaje się, skwierczy wokoło. A tu jest cień, bo rosną przyjemne drzewa i stoliki stoją pod tymi drzewami. I jest trochę trawy, co jest rzadkie tutaj. Uff, komórki w mózgu szybko przegrupowują się, robiąc miejsce dla nowych doświadczeń i umiejętności.

Obiad jemy przy stoliku, na naszym balkonie w hotelu Delwende. Grzegorz kupił od ulicznej handlarki. Nalana do foliowych woreczków brudnozielonkawa ciapaja. Z woreczków przelewamy do naszych turystycznych naczyń. Coś pomiędzy gęstą zupą, a rzadkim czymś. Zagęszczony wywar z jakichś roślin. Ma kwaskowato-słonawy smak. Do tego przyprawa. Ostra jak wszyscy diabli.

- To pimo - mówi Lidia.

Jak w wielu biedniejszych regionach świata, gdzie z natury rzeczy mniej dba się o higienę, do potraw tradycyjnie dodaje się piekielnie ostre przyprawy. Odkażają.

Potem, kiedy spacerkiem wracamy z lotniska, gdzie poszliśmy sprawdzić, co z bagażem, zatrzymujemy się na afrykańskiego hot doga. Przy ulicy ogień pod rusztem. Na patyczkach małe kawałeczki baraniego mięsa. Sprzedawca bierze rozkrojoną bułę, wsadza do niej patyczek z mięskami i wyciąga patyczek. W piaszczystym kurzu afrykańskiej ulicy, po zachodzie słońca, wśród mnóstwa przyulicznych budek i straganów, po długim spacerze przez całe centrum, na lotnisko i z powrotem, ten znakomity i niepowtarzalny smak, proszę sobie wyobrazić!

Druga noc w Afryce. Bezsensowność. Natłok wrażeń, myśli. Myślę o tym, że w końcu nie trafiłem do chłopaków na próbę. Charles – Mossi i Alex – Dogon. Dwaj przyjaciele z zespołu.



Mossi i Dogonowie to stare, o bogatej historii plemiona, które walczyły ze sobą. Ciekawe zresztą, że nazywamy je plemionami, a nie narodami. Kiedy plemię staje się narodem? Od czego to zależy?

Zwykły Europejczyk, który słyszy o plemionach w Afryce, wyobraża sobie grupkę murzynów w sukienkach z liści palmowych tańczących z dzidami dokoła ogniska, czy coś w tym rodzaju. I byłby zapewne zdziwony, że państwa afrykańskie mają historię nie uboższą niż europejskie. Egipt, ba! Egipt! No Egipt, wiadomo. Ale nie tylko Egipt. W tej części Afryki, w której nie mogą zasnąć, najstarszym państwem jest Ghana. Pierwsze zapisy na jej temat znajdują się w kronikach arabskich podróżników z VII wieku. Potomkowie tych arabskich podróżników dwieście lat później wspomnieli o państwie Mieszka I. Potem było Mali ze słynną dynastią Keita, która zbudowała tu średniowieczne imperium.

Około tysięcznego roku Afrykę nawiedził potężny klimatyczny kataklizm - wielkie susze i pustynnienie obrzeży Sahary w kierunku południowym. Mossi, lud myśliwych i wojowników, został wyparty przez piasek na południe zamieszkane przez liczne klany rolnicze nazywane ogólnie ludami wołtyjskimi, od nazwy rzeki, która przepływa przez te tereny. Wojownicy Mossi szybko podbili cały ten rolniczy teren, narzucając mu własną organizację polityczną, i tworząc silne i sławne Królestwo Ouagadougou. W wyniku czegoś porównywalnego z naszym rozbiem dzielnicowym, jeszcze w średniowieczu powstało drugie państwo Mossi - Królestwo Yatenga ze stolicą w Ouaigoui, do której dzisiaj o szóstej rano zawiezie nas autobus. Yatenga przez setki lat szarpało się, biło, czyniło najazdy na państwo Dogonów, dziś na pograniczu Burkina Faso i Mali. Podczas tych najazdów Mossi podbili inne mniejsze ludy na północy, jak również szczytujący się bogatą kulturą i historią lud Kurumba, który zamieszkuje Pobe Mengao i okolice.

Mossi tak się dali we znaki podbitym ludom, że kiedy w XIX wieku weszły tu wojska francuskie, Mossi musieli stawiać im czoła sami. Dogonowie i Kurumba nie dość, że nie kiwnęli palcem, to jeszcze przyjęli Francuzów jak serdecznych gości, którzy uwolnili ich od odwiecznego wroga. Na Francuzach jednak dowody sympatii nie zrobiły wielkiego wrażenia i szybko narzucili ludziom nowe jarzmo, drakońskie daniny i obowiązek darmowej pracy przymusowej, więc szybko doprowadzili do wrzenia i do zorganizowanego oporu. Ostatnia bitwa rozegrała się 25 lat po wkroczeniu Francuzów na te ziemie. Ostatni walczący Dogoni zamknęli się w ufortyfikowanej wiosce Tabi na terenie dzisiejszego Mali. Pułkownik Mangeot, komendant regionu Timbaktu, wysłał na Tabi oddział 140 żołnierzy, w tym 20 artylerzystów, działa oraz 200 pocisków, karabin maszynowy z 1500 nabojami. Każdy strzelec dostał po 150 naboju. Naprzeciw siebie mieli afrykańskich wojowników wyposażonych w łuki, dzidy, oszczepy i w nieliczne strzelby. Na propozycję kapitulacji odpowiedzieli, że wolą umrzeć niż być wygnańcami lub niewolnikami. Zbudowali system okopów oraz kamiennych umocnień i bastionów. Bitwa rozpoczęła się 7 listopada 1920 roku. Przez trzy dni Francuzi ostrzeliwali Tabi z armat, nie ruszając się z miejsca. Gdy Dogoni odrzucili kolejną propozycję poddania się, 11 listopada ruszył szturm. Walki trwały kolejne trzy dni. Wioskę zdobyto 14 listopada. Okazało się, że przez ten tydzień opór stawiało 70 walczących. Wioskę za karę Francuzi postanowili wymazać z mapy. Budynki zrównano z ziemią, zniszczono drogi dojazdowe, a mieszkańców przesiedlono na pustynię.

Nazwa Tabi funkcjonuje tam do dziś trochę jak u nas Westerplatte.

Kiedy robi się jasno, postanawiam wziąć prysznic i zmyć z siebie całonocny pot. Nie mam świadomości, że to ostatni normalny prysznic w drodze na północ. Zmyty świeżą wodą, nareszcie zasypiam na chwilę. Bo to już. Piąta. Wstajemy. Pada deszcz.

\*\*\*

Historia Sahary ładnie koresponduje z opowieścią o wygnaniu z Raju. Afryka. Pierwsi ludzie. Kulebka ludzkiego świata. Sahara to żyzna, zielona kraina, gdzie ludzie i zwierzęta żyją obok siebie. W opowieściach o genealogii plemion, u początków jest jedność ludzi i wybranych gatunków zwierząt. Wygnanie następuje pięć tysięcy lat temu. Raj zmienia się w pustynię. Na straży stają aniołowie suszy, burz biaskowych, pragnienia i śmierci. Zaczyna się wielka wędrówka.

Jeszcze ciemno. Naprzeciw nas człowiek śpi przed sklepem, na ziemi, przykryty kartonem. Deszcz pada i robi się błoto gęste i gliniaste. Ładujemy torby do starej, zielonej taksówki, gdy pierwsi ludzie na rowerach, motorowerach i małych motorkach, z głowami przykrytymi czymkolwiek, zasuważają już przed siebie.

Kiedy jedziemy i z mroku wyłaniają się pierwsi idący, myślę sobie jeszcze, że oni nawet podczas deszczu chodzą powoli i spokojnie, jakby nigdzie nigdy się nie spiesząc. Lidia mówi, że jak kiedyś szybko szła, spiesząc się na autobus, ludzie się z niej śmiali. Szybkie chodzenie jest śmieszne.

Na dworcu tylko nasz autobus. Na północ. Na Sahel, do podsaharyjskich stref. Jestem pewien, że w Polsce takim autobusem nikt nie wybrałby się nawet z Biedaszewa Małego do Biedaszewa Wielkiego, bo bałby się wsiąść. Tutaj to pojazd na trudniejsze trasy. Bo te na północ są trudniejsze. A każdy kurs jest niespodzianką. Nie wiadomo, co nas spotka. Załoga to kierowca i kilku chłopaków, którzy sprawnie upychają bagaże, gdzie jeszcze jest miejsce. Autobus jest pełny. W półmroku nasze jasne skóry nie świecą tak bardzo. Ciekawe zresztą z tym widzeniem kolorów skóry. My jesteśmy przekonani, że to my jesteśmy biali, a oni czarni, choć wiadomo, że tak naprawdę, przyglądając się kolorom naszych skór, tacy oni czarni, jak my biali. A są tu takie plemiona, które uważają, że to oni są biali, a my jesteśmy pomarańczowi, więc mówią na nas czerwoni.

Ruszamy. Pokrzykiwania załogi, niczym chłopców okrętowych na odbijającym od brzegu frachtowcu. Okrzykami pomagają mu wyjechać z bram dworca. Dobrze, że w większości są szyby w oknach, bo wciąż pada. Ouagadougou powoli zostaje za nami. Autobus rozpędza się na nierównej drodze. Nie siedzimy razem. Nie było miejsc koło siebie. Foteli jest po pięć w każdym rzędzie, łączone po dwa i trzy. Siedzę trochę ściśnięty obok starszego mężczyzny, który porusza ustami, jak gdyby się modlił, po czym powoli i spokojnie okręca sobie głowę i twarz dużą chustą, pozostawiając tylko oczy, które zamyka. Krople na szybie, miły przewiew, trzęsienie. Choć strasznie jestem ciekawy tej drogi i chociaż nagle robi się jasno, jakby ktoś na pstryk włączył przyćmione chmurami deszczowymi słońce, dopada mnie sen, który owija mi głowę, powoli i spokojnie, pozostawiając tylko oczy, które zamykam. Śni mi się zlikwidowany Raj, obrócony w piasek i w czerwony pył. I ludzie, których spotkaliśmy. Recepcjonista z hotelu Delwende, który 24 godziny na dobę miał włączony telewizor, stacja Burkina. Przepytywał nas, skąd jesteśmy, kim jesteśmy i dokąd jedziemy. Pytał, ile mam żon. Jedną. On też ma jedną. Nie chce więcej. I grzeczny chłopiec, syn Saturnina, który odwiedził nas w hotelu i bardzo grzecznie i z uśmiechem odpowiadał na pytania Lidii, co słyhać, i jak

rodzina. I starszy człowiek siedzący w kucki na ziemi przy zwijających się wieczorem straganach, który uśmiecha się do mnie.

Wiem, że autobus stoi, że już od dawna nie jedziemy. Ale śpię po bezsennej nocy i chcę wrócić do snu. Odnotowuję tylko, że część ludzi wysiadła, a część siedzi dalej. Więc wolno siedzieć, wolno się nie ruszać. Człowiek z głową zawiniętą w chustę, obok mnie, śpi spokojnie. Więc pewnie nic nadzwyczajnego. Autobus się zepsuł na tej wyboistej drodze i usiłują naprawić. Staliśmy tam podobno ze dwie godziny, zanim naprawili. Nie wiem. Spałem.

Czym była Ouahigouya w tej drodze?

Ouahigouya była miejscem przejściowym.

Co to znaczy, że była miejscem przejściowym? Jak to rozumieć? Czy chodzi o to, że przesiadaliście się w niej tylko?

Nie, nie chodzi o to, że tylko się w niej przesiadaliśmy.

Czy o to, że tonęła w błocie i w deszczu i wydawała się błotnisto-przezroczyta?

Nie, również nie chodzi o jej błotnistą przezroczystość.

Czy o zadaszenie przystanku, na którym wysiedliście, kryte wysuszonymi liśćmi na wbitych w błoto kijach?

Myślę, że o wszystko razem. Że rozmazana piaszczysta ziemia, w której ślizgały się nogi w sandałach, deszcz, który całość malował impresjonistycznie, niejasna sytuacja zawieszona przesiadkowości, gdy autobus do przesiadania się doń, był odjechał, i jakieś ogólne poczucie nierealności dla mnie tego wszystkiego wokół, spowodowała tę myśl, że Ouahigouya to miejsce przejściowe, choć wiem, fakty są takie, że tak nie jest. Ouahigouya to jedno z większych miast Burkina Faso. Liczy obecnie około 120 tysięcy mieszkańców, z których prawie wszyscy mieszkają w małych domkach z piasku, błota i gliny. Położona na północy kraju, jest tak zwanym ośrodkiem miejskim przygranicznym, niedaleko od granicy z Mali. 24 grudnia 1985 roku mieszkańcy Ouahigouyi usłyszeli pojedynczy świst na niebie, i ledwie zdążyli spojrzeć w górę, na świst z nieba odpowiedział jęk z ziemi. Radzieckiej produkcji odrzutowiec MiG 21 zrzucił bombę na targowisko. Około setki ludzi umarło tego dnia w środku miasta. Wieczorem radio z Ouagadougou nadało komunikat, że siły powietrzne Mali zbombardowały cywilny cel w mieście Ouahigouya, popełniając zbrodnię wojenną i że samolot został ostrzelany, trafiony, a pilot jest ranny. Wojna między Burkina Faso i Mali o prawo do kawałka ziemi tam, gdzie nie ma i nigdy nie było jasno wytyczonych granic, trwała pięć dni i lubiące ładne nazwy międzynarodowe dziennikarstwo nazwało ją Wojną Bożonarodzeniową. Oba te ubogie państwa posiadały radzieckie odrzutowce i sporo europejskiej broni, jak na swoje nędzne budżety, przypadek charakterystyczny dla wielu afrykańskich krajów.

Tak więc Ouahigouya. Deszcz. Wsiadamy w błoto. W żółtawo-czerwonawym błocie ładują nasze bagaże, wszystkie torby z darami, całe dwieście kilo. Autobus spóźnił się co najmniej dwie godziny. Ten z Ouahigouyi do Pobe Mengao już odjechał. Co teraz? Możliwe, że będziemy musieli tu czekać do jutra. Układamy bagaże pod przeciekającym daszkiem. Zaleta

sandałów w deszczu? Co wcieknie, to wycieknie. Siadam na ławeczce. Ludzie patrzą na nas spokojnie. Wyglądają w tym deszczu jednocześnie jak zjawy i jakby tu siedzieli zawsze, co się jedno z drugim nie wyklucza.

Podbiegają jacyś chłopcy. Biorą nasze bagaże. Ładują do samochodu, do jakiejś ledwie, wydawałoby się, trzymającej się na kołach, osobówki. O co chodzi?

- Wsiadajcie! Jedziemy!

Bez dalszych pytań, upychamy się z resztą bagaży do środka auta. Ruszamy z kopyta. Kawalek za miastem, w sawannie, stoi autobus. Ten, który nam uciekł. Stoi, bo jest barriere de la pluie, bariera deszczowa. Szlaban na drodze. Ruch zamknięty z powodu deszczu. Droga nieprzejezdna. Trzeba czekać aż woda opadnie.

Chłopcy wyładowują nasze bagaże. Nie chcą pieniędzy za to podwiezienie. To już nie stolica.

Wszędzie czerwień. Zwykła kałuża wygląda jak rozlana krew. Ziemia wygląda jakby tak napita była krwią, że już nie wsiąka. Lateryt. Na laterytowej drodze stoi autobus. Stoi przed szlabanem, którego pilnuje mężczyzna w kurtce. Ma tu przy szlabanie budkę i nie otworzy przejazdu, dopóki nie dostanie wiadomości, że woda opadła i droga przejezdna. Załoga włożyła już nasze bagaże na dach, zakryła plandeką, przywiązała. Korzystają z darowanego przez deszcz czasu i naprawiają usterki. Zawsze jest co ponaprawiać. Zdjęli koło. Nie zanoszą się na to, żebyśmy szybko ruszyli. Wchodzę w sawannę. Rzadka trawa, krzaki zdradliwie kłujące. Zdradliwie, bo nie wyglądają na to, że aż tak. A czepliwe są jak diabli. Głęboki dół, jak lej po bombie, co wcale nie jest wykluczone. I ten zapach, który unosi się tu cały czas, więc chyba jest z gleby, może z tego laterytu, nie wiem.

Ruch odbywa się po obu stronach drogi. Szlaban blokuje tylko drogę, więc co jakiś czas motorek, rower bądź samochód przejeżdżają sawanną, obok drogi. Autobus nie może. Musi czekać. Szczególnie, że jest w nim troje białych. Z białymi jest problem, bo potem w razie czego starają się o ubezpieczenie i mogą być z tego problemy. Lepiej być ostrożnym.

Czekamy ze trzy godziny. Dzieci nie płaczą. Nikt się nie denerwuje. Nikt nie szuka budki z picciem lub z czymś do przekąszenia. Nikt do nikogo nie dzwoni z komórki. Ludzie siedzą na ziemi, stoją, dzieci się bawią. Czekamy. Nie pada, więc jest szansa, że dziś jeszcze ruszymy. W końcu szlaban idzie w górę. Plamy krwi i lej po bombie zostają w pamięci. Tymczasem poletka zalane przez wodę. Ale szybko wsiąka i paruje w tym słońcu.

Most. Mostów nie buduje się tu w górę, tylko w dół. Rzeki są sezonowe. Wysychają w porze suchej, więc istnieją tylko przez trzy miesiące. Wyglądają jak rzeki w zasadzie tylko po deszczu. Już nazajutrz przypominają zanikające strumyczki. Dlatego nie stawia się filarów i przęseł, tylko kładzie się betonowe płyty przez dno rzeki i po nich się przejeżdża. Nie dziwne, że kiedy leje i wszystko wzbiera, nie da się przejechać.

Na przystankach czekają na nas grupy kobiet i dzieci handlujących przekąskami i napojami. Wystarczy, że jednej osobie z autobusu coś się uda sprzedać, już warto było tu stać przez cały dzień z tacą na głowie.

Jeszcze się czuję niepewnie. Jeszcze nie próbuję tłusciutkich pączków, napojów w woreczkach, które się pije, odgryzając róg worka, łuskanych w domu orzeszków

arachidowych. Oszukuję apetyt wodą z butelki kupioną w Ouagadougou. Co śmielsze dzieci wchodzi do autobusu, pozostałe chodzą pod oknami i zachwalają swoje smakołyki. Ktoś coś bierze. Autobus rusza. Dziecko biegnie za nim z wyciągniętą ręką. Przez szybę wysuwa się ręka z monetą. Zdążył.

Gorąco. Czuję, że z zapachem tej czerwieni tutaj miesza się mój - spoconego, wytelepanego białego ciała, które marzy o choćby splukaniu chłodną wodą i myśli sobie, o, super, dojeżdżamy. Przed nami, w zniżającym się już Słońcu, jawi się Pobe Mengao.

Co było piaskiem, kiedy nie był piaskiem? Co jest w piasku, czego już tu nie ma? W szczątki jakich światów wmieszał swoje trzy grosze europejski kurz z podeszw naszych sandałów, kiedy wysiedliśmy przed wieczorem w afrykańskiej wiosce? Jakie niewidzialne przygląda się nam?

Szeroka, czerwonawopiaszczysta droga ciągnąca na wschód. Chłopacy sprawnie, wspierając się nogami na otwartych oknach wskakują na dach autobusu po nasze bagaże. Autobus odjeżdża w upale i pyłe. Nikt na nas nie czeka. Nie ma orkiestry powitalnej, fanfar i wiwatujących tłumów. Pan utykający przystankowy ma do Lidii pretensje, że miała mu coś przywieźć, czego nie przywiozła. Poza tym cisza. W upale i pyłe małe domeczki koloru tej ziemi. Wyglądają, jakby z niej właśnie były ulepione. Podjeżdża motocykl. Pan niezadowolony przystankowy sprowadził motocyklistę, który każe najpierw wsiadać Grzegorzowi razem z częścią bagaży. Znikają wśród domków. Potem przyjeżdża po mnie. Mocno skupiam się na tym, żeby nie spaść na nierównej drodze. Jedziemy przez wieś. Podobno mieszka tu jakieś sześć tysięcy ludzi.

Już prawie wieczór, ale ciągle żarzy. Na obrzeżu wioski stoi otoczony murkiem Dom Przyjaźni. Zbudowali go Francuzi, jakieś stowarzyszenie. Niewielki parterowy budynek kryty blachą, po której biegają jaszczurki, przystają i patrzą na nas. Biegają i stają na pionowej ścianie, odchylają głowy, żeby nas obejrzyć i kiwają łebkami: tak, tak, tak, tak, no tak. Przed budynkiem wiata kryta suszonymi liśćmi. Stolik. Krzesła. Dojeżdża, podwieszona motocyklem, Lidia. Mówi, że nie ma Adama, który ma klucze od tego domu. Musimy poczekać. Składamy stos bagaży przed zamkniętymi drzwiami. Czekamy. Nie ma go i nie ma. Gdzieś pojechał. Kiedy będzie? - Natychmiast - mówi jego syn. Po jakimś czasie okazuje się, że natychmiast to jutro. Tymczasem synowie Adama, którzy nie mają kluczy, siedzą z nami. Są grzeczni i bardzo grzecznie z nami rozmawiają. - Szkoda - mówią - że nie przyjechaliście wczoraj. Wzięlibyście udział w składaniu ofiar podczas przywoływania deszczu. Udaniej. W nocy deszcz spadł.

Dziś w nocy nie będzie padać może - mówimy sobie do siebie nawzajem na głos. - A jak będzie padać, to te suszone liście zatrzymają nad nami krople deszczu może.

Bo rozkładamy moskitiery pod wiatą. Obok kamiennych kulek leżących na ziemi oraz wyrzeźbionego z drewna krokodyla.

- Dziadek był artystą. To on to wyrzeźbił - mówi najstarszy syn Adama, który też chce być artystą. Artysta to bardzo dobry, bardzo szanowany zawód.

Krokodyle mieszkają zaraz za naszym domem, tuż za ścianą, w stawiku. Mieszkańcy Pobe Mengao nie robią im krzywdy, a one nie robią krzywdy mieszkańcom. Są bowiem spokrewnieni. Mają wspólnych przodków. Podobno po północy krokodyle chodzą po wiosce i

zjadają to, co się nadaje dla nich do zjedzenia, a jest tu, leży na drodze, wszędzie pełno śmieci. Nie pokazują tego w filmach podróżniczych, tych śmieci, które są tu wszędzie, gdziegdzie więcej i gdziegdzie mniej.

Najmłodszy z chłopców, Sadik, może pięcioletni, zakłada do góry nogami przeciwsłoneczne okulary. Śmiejemy się wszyscy. Zdjęcia. Szybko robi się ciemno. Chłopcy odchodzą. Dojadamy to, co niedojedzone z podróży. Będzie, czy nie będzie padać? W komórce - ubikacji, która służy nam też za łazienkę, stoi wiadro z deszczówką. Każdemu przysługuje jedna trzecia wiadra. Nie do uwierzenia głośne, ogłuszające dźwięki wydawane przez żaby. Wydaje mi się, że są tu tysiące insektów, które lgną do mojego spoconego ciała. Przysiadają, objają się o policzki, czoło, uszy. W komórce - ubikacji oglądam w świetle latarki owada, który przypomina dzięsięciocentymetrową mrówkę. Może to jest mrówka. Karaluchy wielkości dłoni czekają niespokojnie, aż zgaszę latarkę. Wyraźnie czuję ich niepokój. Zostawiam je więc. Trzeba teraz rozpiąć moskitierę i wejść do niej tak, żeby wpuścić do środka jak najmniej żywego. Kiedy pod wiatą z liści, jakieś ni to ważki ni to nie wiem co, duże i latające otacza mnie całą chmarą i omal nie wpada do ust, a skóra na której pot zmieszany ze środkiem na komary powoduje lekkie acz dokuczliwe pieczenie, i boję się, co będzie, kiedy będę musiał w środku nocy wyjść do komórki - ubikacji, w której znajdę nie wiadomo jakie nocne życie, a jak w nocy lunie ulewa, to te liście nie dadzą nam żadnej ochrony i nie będziemy mieli, gdzie się schować, myślę sobie coś w rodzaju: miła pościeli, łóżko, dzieci moje, żono, mamó, tato, Boże!

Gaszę latarkę i w ciemności słyszę, jak całe armie próbują przebić siatkę moskitiery, a niewidzialne wypełza, schodzi się z ziemi, z dokoła, i z nieba, przyglądając się nam ciekawie, jak jaszczurki. Tak, tak, tak, tak, no tak.